Rok VIII. 31-go marca 1889 r. Nr 5 i 6

WYDAWNICTWO „WALKI KLAS“

PRZEDŚWIT

(L'AURORE)

CZASOPISMO SOCYJALISTYCZNE

WYCHODZI DWA RAZY NA MIESIĄC.

PRZEDPŁATA WYNOSI.
W Szwajcaryi, Francyi, Belgii i we Włoszech: 5 franków.

W Niemczech z przesyłka w kopertach 10 fr.

Organizacyje socyjalistyczne i robotnicze korzystać mogą z ułatwień.

PRZEDPŁATA WYNOSI.
W Austryi 5 guldenów.
W Rosyi 5 rs.

Cena Numeru pojedyncze go 20 centimów, pod opaską 25 cent., w kopercie 40 centimów.

Prenumeratę i korespondencyje z kraju nadsyłać należy w listach rekomendowanych.

Adres Redakcyi i Administracyi: GENÈVE, Chemin Dancet 15, Imprimerie de l'Aurore.

FUNDUSZ WALKI CZYNNEJ

Podajemy tu odezwę, którą umieściliśmy po raz pierwszy w ostatnim numerze *Przedświtu* z roku przeszłego.

* * *

ODEZWA

Przedświt zdobył sobie już pewną sympatyję i grono szczerych przyjaciół. Mamy nadzieję, że nietylko ulepszenia wprowadzać będziemy, ale że z czasem i objętość jego powiększoną zostanie. Wszakże *Przedświt* sam i jego wydawnictwa nic nie znaczą; na pierwszym planie stoi walka i organizacyja, a ta ostatnia jest niemożliwą bez walki.

Przedświt jest nietylko organem propagandy; on ani razu nie zawahał się z twierdzeniem o konieczności walki.

Co nazywamy walką? Walką nazywamy usiłowanie wszelkiego rodzaju w celu usunięcia przeszkód, stojących dziś na drodze sprawie organizacyi socyjalistycznej. Ograniczamy się tem skromnem określeniem, które czytelnik nasz zrozumie i przyjmie.

Walka wymaga funduszów. Potrzeba więc utworzyć fundusz walki czynnej!

Przyjaciele, towarzysze, czytelnicy, otwieramy stałą składkę w celu utworzenia

FUNDUSZU WALKI CZYNNEJ

	fr.
Pierwsza lista składkowa wyniosła . .	148,85
Od tego czasu złożyli na rzecz funduszu walki czynnej :	
Z.	2,00
G.	15,00
Towarzystwo Robotników pol. w Gen.	111,00
Razem	276,85

UWAGA. Składki należy nadsełać na adres drukarni lub na poufne adresy. Prosimy o dokładne nadmienienie celu składek (czy na fundusz walki czynnej, czy na wydawnictwa, czy na więźniów itp.).

NASZE RĘKOJMIE

I

W polityce wola człowieka lub stronnictwa nawet nie decyduje o faktach. Nie od naszej *wyłącznie* woli zależy przeprowadzenie tych lub owych reform społecznych. Nie chcemy przez to powiedzieć, że wola człowieka, która się wyraża w świadomych dążeniach stronnictwa, nie wpływa wcale na losy społeczeństw. Takie zdanie dalekiem jest od naszej myśli! Tylko religije, usiłujące utrzymać lud w ucisku, robią z człowieka istotę bierną, w zupełności poddaną innym siłom; tylko religije, będące w rękach despotów narzędziem moralnego zabójstwa ludów, odbierają człowiekowi wiarę w jego siły.

Myśl nasza ma inne znaczenie! My chcemy powiedzieć tylko to, że nie proste zachcenie, że nie jakaś niezależna w nas wola stanowić może tę siłę, któraby była w stanie zmieniać urządzenia społeczne.

Bezwarunkowo, że dążenia nasze wpływają na to, co przewrotami w urządzeniach społecznych nazywamy. Możemy te przewroty przyspieszyć, możemy je nawet udoskonalić, a to w ten sposób, że na należytą sprowadzadzamy je drogę. Brak zaś woli rewolucyjnej, brak usiłowań do reformy i zrozumienia ich potrzeby powiększa nasze cierpienia, pomnaża ucisk i opóźnia wyzwolenie się człowieka.

Ale wola stronnictwa nie jest wszechwładną, tak samo jak wola człowieka pojedynczego nie jest w stanie przemódz tych przeszkód, które stanowią otaczające go warunki. Jeśli więc od nas zależy przyspieszyć lub opóźnić wschód wolności i równości w społeczeństwie, to nie nasza wola decyduje o tem, *jakie* urządzenia społeczne mogą przyjąć się w ludzkości i *jakiego rodzaju* zmiany w urządzeniach społecznych mogą być dokonane. Pod tym względem wola nasza jest zależną. Co więcej: wola nasza, skierowana w celu dokonania reform społecznych, tylko wtedy będzie skuteczną, tylko w takim razie może się dobić rezultatów, jeśli ona będzie świadomą swej zależności i jeśli ona będzie w zgodzie z tem, co czyni ją zależną.

Możemy naprzykład wyrozumować sobie cały plan reform społecznych, cały projekt nowego urządzenia się społeczeństw. Ale plany te mogą się rozchwiać i rozbić, mogą okazać się niemożliwymi do urzeczywistnienia, mogą okazać się utopiją, marzeniem, dla którego nie masz najmniejszej przyszłości. Jeśli w umysłach naszych zrodzi się taka utopija, to pomimo naszej woli najsilniejszej, pomimo naszych ofiar i poświęceń, rozbija się ona o rzeczywistość tak samo, jak kruche szkło rozbija się, gdy o twardy uderzy kamień. Twarda rzeczywistość złamie wszystkie nasze usiłowania, wszystkie nasze wysiłki i poświęcenia.

A nam trzeba przecie dopiąć celu naszego, to jest polepszyć warunki życia społecznego. Nam trzeba uchwycić w dłonie tę rzeczywistość istniejącą i jak wosk ulewać ją w nowe formy, w takie formy, które byłyby dogodne dla dobrobytu narodu całego i dla szczęśliwego rozwoju kraju naszego.

Ale zkąd wziąć tę siłę, która z rąk naszych uczyni przeobraziciela rzeczywistości?

Jak stal, przerobiona w ogniu, potem ogniowi stawia opór, tak samo i nasza wola rewolucyjna, dążąca do zmiany panującej rzeczywistości na inną lepszą rzeczywistość, wtedy potrafi dokonać tego, gdy naprzód zahartuje się w rzeczywistości. Co to znaczy, że wola nasza, domagająca się reform, ma zahartować się w rzeczywistości, by potem tę samą rzeczywistość módz pokonać? To znaczy, że wszystkie nasze żądania i dążności nie powinny być kapryśnym wytworem naszego umysłu, ale rozumnem i świadomem odbiciem się panujących warunków społecznych. Powinniśmy przedtem uchwycić kleszczami rozumu rzeczywiste życie, przebić je wzrokiem naszego umysłu, by w niem odkryć wszystkie jego drogi, wszystkie jego tajemnice, a gdy raz takowe pojęliśmy, nakreślić naszym usiłowaniom reform należytą drogę. Wtedy nasza praca rewolucyjna staje się towarzyszem rzeczywistości, nasze żądania po tej samej idą drodze, po jakiej rzeczywistość toczyć się ma; my ją wyprzedzamy tylko, czyścimy jej drogę, urabiamy jej formę. Wtedy nasi przeciwnicy nietylko z naszą wolą walczyć muszą, ale i z rzeczywistością; to oni są wtedy marzycielami, bo chcą zgwałcić bieg rzeczywistego życia; to oni wtedy są utopistami, bo chcą wstrzymać rozwój rzeczywistych warunków życia; to oni będą szaleńcami, bo chcą skierować rzeczywistość na drogę, po której ona iść nie może. Do zbrodni wyzysku i tyranii przybywa im śmieszność szaleńców i marzycieli; wtedy należy tylko dobrze wyostrzyć miecz nasz, trzymać w pogotowiu uzdę rewolucyjną, by okiełznać wściekłość i zacietrzewienie przeciwników naszych. Zwycięztwo nasze jest wtedy zapewnionem, a świat cały, widz tej walki, uśmiechać się będzie nam jako tryumfatorom, przeciwnikom zaś naszym pogardliwie i kpiąco.

Zgodność więc żądań naszych z rzeczywistością jest pierwszą i główną gwarancyją przyszłego zwycięztwa naszego. Im więcej nasze plany reform i rewolucyi są w zgodzie z drogami, po których toczy się rzeczywiste życie społeczne; tem więcej jest prawdy w dążeniach naszych. Im mniej wymysłu, a więcej prawdy tkwi w celach naszych, tem tryumf nasz jest pewniejszy.

A co się tyczy zgody naszych dążności z rzeczywistym biegiem wypadków, możemy być spokojni! Dzisiejsza siła socyjalizmu właśnie na tem polega! Na każdym kroku stwierdzają się niejako proroctwa socyjalizmu. To on pierwszy rozwiał marzenia o wszechpotędze dzisiejszego „postępu przemysłu“; on pierwszy wskazał na to, że rozwinie się wielki przemysł i wielka wydajność pracy, wskazując jednocześnie na to, że jednocześnie nastąpi coraz większe zubożenie ludności, coraz większy jej ucisk; to socyjalizm wskazał na to proroczym duchem, że z jednej strony gromadzić się będą bogactwa, ale że jednocześnie coraz wyżej wznosić się będzie gmach nędzy ludzkiej; to socyjalizm przerwał zwycięzką pieśń wzrastającego przemysłu słowami: nastąpią kryzysy, przesilenia z początku ostre, to jest czasowe, a następnie chroniczne, czyli stałe, które przedstawią straszny obraz: zbytek towarów wobec coraz większej nędzy ludu.

Zresztą socyjalizm nietylko wielkich posiadaczy przywoływał do rozumu. Gdy wolność przemysłu i konkurencyi ogłoszoną została, przepowiedział on ruinę drobnego kapitału, małej własności, średniej klasy. Z matematyczną prawie dokładnością socyjaliści wyliczyli upadek tak zwanych średnich warstw. Zginiecie, mówili im socyjaliści, w konkurencyi z wielkim kapitałem, z wielką własnością; wasza własność przejdzie w ręce wielkich posiadaczy, a wasza praca będzie nadal pracą najemną, bo sami, będąc wywłaszczonymi i proletaryjuszami wstąpicie w szeregi najemników.

A i niemniej prawdziwymi okazały się przestrogi, które socyjalizm już od stu prawie lat daje klasie robotniczej. Przewidując kryzysy i wzrost wielkiej produkcyi, socyjalizm zapowiedział z góry wzrost klasy pracującej, jej nędzy, jej brak zarobkowania; już od dawna socyjalizm dowiódł, że żadne reformy nie zmienią obecnego położenia, że stowarzyszenia wytwórcze, spożywcze itd. są tylko mamidłem, że wyjście jest jedno tylko, a mianowicie zdobycie władzy przez klasę pracującą i zaprowadzenie narodowej własności narzędzi pracy.

W stosunkach politycznych socyjaliści również wiernie odgadli teraźniejszość. Podczas gdy tyle umysłów łudziło się nadzieją, że dzisiejsza de-

mokracyja (ludowe rządy) i dzisiejsze swobody polityczne mogą same przez się poprawić stosunki społeczne, socyjaliści pierwsi zwrócili uwagę na to, że nie masz swobody politycznej tam, gdzie jest taka zależność ekonomiczna, że te wrzekome rządy ludowe okażą się rządami klasy, burżuazyi. Wszystkie nadzieje demokratów na wyrównanie się różnic w bogactwie, na zmniejszenie się podatków, na wzrost dobrobytu ludu itd. były bardzo krytykowane przez socyjalistów. I ot co się okazało: nierówność ekonomiczna wzrastała, podatki powiększały się, dobrobyt mas upadał.

Czemu socyjaliści zawdzięczają tę swą przenikliwość? Co stanowi ich zgodne z prawdą odgadywanie dziejów ludzkości? Wszak i świat burżuazyjny miał swych uczonych; dlaczego oni nie doszli do tych rezultatów, do jakich doszła nauka socyjalistyczna? Odpowiedź jest prosta: uczeni burżuazyjni chcieli widzieć wszystko w najlepszem świetle, socyjaliści zaś patrzeli na życie tak, jakiem się ono przedstawia w rzeczywistości.

To też po stuletniej krytyce socyjalistycznej, gdy zło, które ona przepowiadała, tak silnie na jaw wystąpiło, gdy potrzeba leczenia społeczeństwa stała się nieunikniona, znowu dwa obozy stają naprzeciw siebie.

Z jednej strony dawniejsi zachwyceni porządkami burżuazyjnymi, chcąc podstawę porządku panującego uratować, podają szereg lekarstw, mających uzdrowić chore społeczoństwo. To stowarzyszenia wytwórcze, to ratowanie drobnej własności, to prawna opieka ludu pracującego, to zmniejszenie siły kapitału mają być owem lekarstwem. Trzeba — mówią oni — powstrzymać dzisiejszy rozwój stosunków.

Z drugiej strony występują socyjaliści i mówią: przeciw wodzie trudno pływać. Rozwoju przemysłu i produkcyjności pracy powstrzymać nie sposób jdst. Zresztą nie potrzeba nawet powsrzymywać, bo mają one strony dodatnie, które przynoszą korzyść społeczeństwom i zbogacają ludzkość. Zło panujące tkwi w tem, że dziś całe społeczeństwa są wywłaszczane przez garstkę uprzywilejowanych; należy więc wywłaszczyć tych, którzy dziś narody całe wywłaszczają. Nikt nie będzie się bronił przed złodziejami w ten sposób, by niszczyć swoje mienie; również i społeczeństwo nie może się bronić od zdzierstwa i gwałtu kapitalistów w ten sposób, by zmniejszać bogactwo narodowe i znosić wydajność pracy. Trzeba walczyć przeciwko zdzierstwu i wyzyskowi, przeciw przywilejom garstki i wywłaszczaniu mas. Środek zaś jest jedyny: zrobić ogół, społeczeństwo właścicielem narzędzi pracy, ogłosić lud panem narzędzi pracy i swoim własnym rządzcą.

Widzimy więc z tego, że właśnie socyjaliści, którzy chcą obalić dzisiejszy porządek, są w zgodzie z rzeczywistym rozwojem ludzkości, że ich żądania wynikają z warunków życia.

Ta zgodność socyjalizmu z rzeczywistością stanowi jego prawdę, a tem samem i jego siłę niezwyciężoną. Sam rozwój dzisiejszych stosunków dyktuje nam socyjalizm jako wyjście z tego bezdroża, na którem dziś znajdują się społeczeństwa ucywilizowane.

Jest to pierwsza rękojmia naszej siły i naszego zwycięztwa w przyszłości.

II

Stosunki produkcyi i własności pchają współczesne społeczeństwa do socyjalizmu. Jest to prawda, która nie ulega żadnej wątpliwości.

Społeczeństwa jednakże nie są martwą bryłą, którą porusza siła zewnętrzna. W łonie dzisiejszych społeczeństw są różne interesy, zrozumiane przez tych, których się one tyczą. Każda zaś grupa społeczna, każda warstwa stara się zadość uczynić swym interesom.

Jeżeli mówimy, że pewien porządek społeczny nie może się utrzymać, musi upaść, to te słowa znaczą tyle, że z jednej strony warstwy społeczne uciskane doszły do świadomości swego położenia, a z drugiej strony warstwy rządzące, nie mogąc nic dać społeczeństwu i nie mając żadnego punktu wyjścia, nie są już w stanie utrzymać bronionych przez się przywilejów.

Zastosujmy te słowa do dziś panujących porządków społecznych. Klasy wyzyskujące i panujące nie mogą już dziś mówić o tem, że broniony przez nich system może zapewnić ludzkości postępowy jej rozwój. Dawniej spodziewano się wszystkiego ze wzrostu produkcyi i wydajności pracy. Dziś przekonano się o tem, że póki narzędzia i środki produkcyi są w rękach nielicznej garstki uprzywilejowanej, póty nędza i ucisk mas nietylko że się nie zmniejszają, ale owszem powiększają się. Z dzisiejszego zatem porządku żaden ład wyjść nie może; klasy posiadające już tylko zło dziś czynią i nie są nawet w stanie utrzymać steru rządów krajowych.

Gdyby jednak można było zrobić z ludu pracującego maszynę, która nic nie czuje i nie myśli, która nie upomina się o nic, która zaspakaja się powietrzem, która — gdy nie jest w ruchu — stoi pokornie, jak każda inna maszyna, — gdyby drobny rzemieślnik, drobny wytwórca i drobny właściciel wraz z utratą swej własności i niezależności tracił także swoje człowieczeństwo, to porządek dzisiejszy istniałby wieki całe. Maszyny te pracowałyby, panowie używaliby. Nie byłoby ani strejku, ani buntu, ani żadnej agitacyi niezadowolonej.

Powiedzieliśmy tylko co, że porządek dzisiejszy w takim razie mógłby trwać wieki całe. Trzeba się nam porozumieć co do słów „porządek dzisiejszy." Jeżeli pod temi słowami należy rozumieć tylko istnienie ludzi, którzy używają, a nie pracują, to ten porządek mógłby się ostać, gdyby ludność robotnicza została zamienioną przez maszyny.

Ale „dzisiejszy porządek" nietylko na tem polega. Dzisiejszy porządek opiera się na rozwoju produkcyi, na coraz większem wytwarzaniu towarów i ich obiegu bezustannym. Otóż dla maszyn nie wytwarzanoby towarów, dla maszyn nie robionoby bezustannie nowych wynalazków, dla maszyn nie rozwijanoby przemysłu. Jednem słowem całe życie współczesne zanikłoby i musiałoby przyjąć inny charakter; nawet kuryjerki przestałyby istnieć i zastąpionoby je jakąś maszyną, udającą trefnisia.

Niedawno jeden z uczonych angielskich, obrońca klas panujących, groził strejkującym robotnikom, że jeśli lud pracujący wciąż będzie się buntował, to kapitaliści postarają się obejść się bez robotników i zastąpią ich maszynami. Zapalony ten sługus zapomniał, że wtedy cała produkcyja dzisiejsza zaginie, że zresztą nie byłoby kapitalistów ani robotników, a tylko ludzie, którzy mieliby na swe usługi maszyny, robiące wszystko, co do życia i rozkoszy potrzeba. Ale i robotnicy byliby zadowoleni z takiego stanu rzeczy i jeśli burżuazyja może taki raj sprowadzić na ziemię, to opłaciłoby się zmusić ją do tego strejkami.

Zanim jednak taki raj nastąpi, robotnicy strejkują i buntują się dla innych powodów. Idzie im o poprawę swego położenia, o obronę swych interesów. W ten sposób toczy się walka klasy z klasą. Żądania ludności pracującej są z początku ograniczone: to idzie im o chwilową ulgę w sposobie pracy, to o podwyżkę płacy, to o prawo stowarzyszania się dla łatwiejszej walki na przyszłość. Z czasem żądania te przybierają większe rozmiary; w umysłach pokrzywdzonych zaczyna się odzwierciedlać całkowite i zupełne zrozumienie swego położenia. Walka przestaje być ograniczoną fachem, rzemiosłem, miejscowością lub czasem. Ona zaczyna być powszechną i wyraża się w dążnościach wyzwolenia się jako klasy. Pokrzywdzeni zaczynają pojmować swoje interesy i swoją siłę, a z drugiej strony zaczynają przewidywać skutki tego nieładu społecznego, w którym dziś znajdują narody. I oto zaczyna się jasno rysować przed oczami uciskanych obraz nietylko teraźniejszych cierpień, ale i przyszłych; zjawia się zrozumienie potrzeby rozprawienia się z podstawową przyczyną zła, potrzeby ostatecznego zreformowania społeczeństwa.

Mamy więc drugi czynnik rewolucyjny: świadomość uciskanych.

Coraz bardziej uświadomiony lud robotniczy, poczuwając się dziś jako klasa uciśniona, rozumiejąc przytem to znaczenie, które on ma dla społeczeństwa, zaczyna myśleć o swem wyzwoleniu się. A właśnie dlatego że jest on przedstawicielem pracy uciskanej, że interesy jego zlewają się z interesami narodu, ludzkości — to jego wyzwolenie jest jednocześnie i powszechnem wyzwoleniem.

I burżuazyja, która dziś jest u szczytu swej potęgi, stanowiła kiedyś klasę uciskaną, nie poczuwającą się nawet do tej siły, którą jej późniejsze dostarczyły warunki. To też walka burżuazyi ze szlachtą z początku była niesystematyczną, miejscową i chwilową. Gdy wszakże siła świadomości wzrastać poczęła, gdy we wszystkich zakątkach kraju, na wszystkich punktach świata jedna i ta sama myśl poczęła łączyć mieszczaństwo ówczesne, wnet wytworzyła się siła, której stary porządek rzeczy oprzeć się nie mógł. Zamiast dawnych ustępstw miejscowych, burżuazyja wystąpiła jako całość i postanowiła być wszystkiem.

Podobnież ma się rzecz i z emancypacyjnemi dążnościami ludu pracującego. Z początku walczy on o drobne ustępstwa, w jednej miejscowości, nieraz nie poczuwając się do solidarności ze swymi braćmi w drugiem mieście lub nawet drugiego fachu, ale powoli budzi się poczucie klasowe u ludu robotniczego, który siebie całego przeciwstawia klasom panującym i posiadającym. Wyższy i coraz bardziej doskonały rozwój tego poczucia klasowości daje ludności robotniczej coraz większą świadomość swych interesów i jej roli w społeczeństwie. Wtedy to zjawia się u niej myśl walki politycznej, to jest walki o władzę i ster urządzeń krajowych. Najwyższym wyrazem tej świadomości klasy robociej jest socyjalizm.

Z chwilą, w której lud robotniczy do takiej świadomości dochodzi, wszystkie elementy niezadowolone, wszyscy ci, którzy z powodu panującego porządku cierpią, przyłączają się do armii ludowej, bo w jego zwycięztwie swoje wyzwolenie widzą. Dlatego też widzimy, jak w krajach, gdzie świadomość socyjalistyczna mas pracujących doszła do szerszych rozmiarów, zarówno klasy średnie, jak i tak zwany proletaryjat inteligencyi przechodzą do szeregów armii robotniczej *).

Walka wymaga organizacyi dla walki. Dlatego też wszędzie, gdzie się budzi świadomość mas, lud organizuje się i przygotowuje się do walki. Póki walka pracy z kapitałem nosiła charakter walki chwilowej, czasowej, miejscowej, póty polityczna organizacyja proletaryjatu była zaniedbaną. Uświadomiony proletaryjat, nie ograniczając się walką o codzienne interesy, dążący do wyzwolenia swego, jako klasy całej, musi uskutecznić organizacyję polityczną — jawną lub tajną, stosownie do warunków politycznych, które go otaczają.

Ta to świadoma organizacyja proletaryjatu będzie w stanie wyzyskać wszystkie błędy, które klasy panujące popełnią i popełniać muszą; ta to organizacyja będzie w stanie przyspieszyć chwilę zupełnego upadku panującego dziś porządku, by na gruzach przeszłości wybudować gmach przyszłości; ta to organizacyja, ułatwiając masom ludowym zdobycie władzy politycznej, stanowi awangardę armii wyzwolenia, której tryumf zapewniony jest przez sam nieład panującej dziś gospodarki społecznej.

Zgodność naszych żądań z rzeczywistością, prawda socyjalizmu jest rękojmią jego konieczności. Świadoma organizacyja będzie tą siłą, która prawdzie zdobędzie należne jej miejsce.

III

Walka, którą lud w przyszłości stoczy ze swymi wyzyskiwaczami, nie jest pierwszą walką. Rewolucyje nieraz już miały miejsce, a jednak nie dały one ludowi upragnionego zwycięztwa.

Zresztą gdyby wprowadzenie socyjalizmu mogło być sprawą jednego dnia, to niepokój o przyszłość nie miałby racyi bytu. Ale tak wszak nie jest! Nawet po zwycięztwie ludu trzeba będzie stopniowo wprowadzać jedne reformy po drugich, trzeba będzie przygotowywać lud do kierowania produkcyją i t. d. Czyż więc nie zachodzi słuszna obawa, by w tym czasie wrogie ludowi żywioły znów go nie wyzyskały, wtrącając go powoli w niedawną niewolę?

A i przed zwycięztwem, w czasie walki, czyż nie mogą się pojawić politycy z łona klas po-

*) Czasami daje się słyszeć następujący zarzut: I burżuazyja mówiła o wyzwoleniu powszechnem, a jednak zakończyła swe zwycięztwo panowaniem klasowem. Czyż lud pracujący nie będzie także rządzącą klasą, uciskającą innych? Niedorzeczny zarzut! Burżuazyja głosiła wolność człowieka, ale przy różnicy majątkowej. Jasnem więc jest, że ta wolność musiała być zgniecioną przez ucisk majątkowy. Proletaryjat domaga się wyzwolenia pracy, zapanowania interesów ogółu; lud więc pracujący nie może po zwycięztwie zostać klasą uciskającą, chyba by sam siebie uciskał. Klasa pracujących jako klasa dąży do równości i do zniesienia panowania klasowego.

siadających, którzy wezmą przewodniczenie nad ludem, by go potem oszukać? Historyja rewolucyj jest po części i historyją oszukiwania mas pracujących. Im zatem lud mniej ma wykształcenia, im mniej ma historycznego doświadczenia, tem większem będzie wzmiankowane niebezpieczeństwo. Jaką zatem możemy mieć rękojmię tego, że najbliższa walka da nam pożądane reformy społeczne, że lud znów nie będzie oszukanym?

Przedewszystkiem zaznaczmy to, że przeszłość nie powinna nas przestraszać. Wprawdzie w każdej rewolucyi lud daje najwięcej rekruta i to jego krew stanowi wygranę walki, podczas gdy po rewolucyi inne klasy odbierają mu zwycięztwo, oszukując wszystkie nadzieje ludu pracującego. Nie powinniśmy wszakże kłaść tak wielkiego nacisku na to, że lud oszukanym został, bo dotychczas lud sam oddawał przewodnictwo wszelkich ruchów innym klasom społecznym. W ten sposób nie można mówić o tem, by rewolucyje nie dopięły tego celu, który one miały. Weźmy naprzykład prawie wszystkie rewolucyje we Francyi; lud sam niejako mianował burżuazyję na przewodników w walce; burżuazyja zaś mówiła o wolności politycznej tylko, stanowczo odrzucając równouprawnienie społeczne. Ta wolność polityczna była osiągniętą. Wprawdzie lud od niej spodziewał się czego innego, niż ona w rzeczywistości dała i dać mogła, ale nie rewolucyję samą trzeba oskarżać o to, że nadzieje ludu zostały zawiedzione. Wina zawodu spada na politykę ludu, a raczej na to, że lud nie miał swej polityki.

Weźmy inny przykład. Przypuśćmy, że powstanie 1863 r. udało się i że ono przyniosło niepodległą Polskę. W niej szlachta i fabrykanci uciskaliby lud pracujący przynajmniej tak samo, jak teraz uciskają, a sądy polskie i policyja polska prześladowałyby robotników z niemniejszą zaciekłością, jak to robi dziś policyja rosyjska, niemiecka lub polsko-austryjacka. Wtedy niejeden rzemieślnik lub robotnik, który krew swą przelewał, mówiłby o tem, że szlachta lud oszukała, że on innej spodziewał się Polski. Otóż na te narzekania jest prosta bardzo odpowiedź: a dlaczego lud oddał się szlachcie pod jej komendę, dlaczego lud nie prowadził swej polityki?

Z tych to właśnie powodów socyjaliści mówią o walce klasowej, o klasowej świadomości i o samodzielnej polityce ludu; dla tych to właśnie powodów mówimy bezustannie o samodzielnej partyi robotniczej i ostrzegamy przed wszelkiemi sojuszami z polityką szlachecką; dla tych samych powodów nie przestajemy nalegać na odróżnianie patryjotyzmu ludu od patryjotyzmu klas posiadających, które nic wspólnego ze sobą nie mają.

Pod tym względem socyjaliści polscy nie odstępują ani na jotę od zasad wszystkich socyjalistów i wszystkich szczerze socyjalistycznych stronnictw.

Wyzwolenie klasy pracującej powinno być jej własnem dziełem.

Oto zasada, którą głosiło Międzynarodowe Stowarzyszenie Robotników.

Wprawdzie fircyki szlacheckie, którzy bawią się w konspiratorów tak samo, jak dzieci bawią się w żołnierzy, z uśmiechem powtarzają zasadę tę, z przekąsem mówią o tem, że robotnicy sami wyzwolić się mogą. Ta fanfaronada durniów, którzy, nie umiejąc prowadzić dobrej gospodarki w swej niebardzo pełnej mózgownicy, mają jednak pretensyję do wielkiej polityki i do zbawienia ludzkości, ta — powtarzamy — fanfaronada błazeńska, odziedziczona po szlachetkach zagrodowych, jest tylko dowodem nowym, jak konieczną dla klasy pracującej jest jej samodzielna polityka.

Zorganizowany i świadomy swych celów proletaryjat czy to jako mniejszość uzbrojona przed walką, czy to jako zbiorowość wielka po zwycięztwie sama dokona swego wyzwolenia.

Świadomość przed walką będzie gwarancyją zwycięztwa, — świadomość i organizacyja masowa w czasie walki i po zwycięztwie będą gwarancyją należytą i dostateczną możności ziszczenia pożądanych reform społecznych.

Klasa robotnicza zorganizowana w rewolucyjne stronnictwo polityczne będzie w stanie odebrać ster rządów krajowych z rąk bankrutującego kapitalizmu. Wreszcie klasa robotnicza zorganizowana w stowarzyszenia i związki fachowe będzie mogła nazajutrz po rewolucyi objąć organizacyję produkcyi.

Pod tym względem sam sposób dzisiejszego wytwarzania ułatwia klasie robotniczej wyzyskanie jej zwycięztwa. Dziś produkcyja nie odbywa się tajemniczo, nie jest rezultatem sekretów fachowych; każdy ma dziś dostęp do tajemnic przemysłu. Czego brak, to organizacyi produkcyi...

Tę organizacyję proletaryjat weźmie na siebie i spełni swe zadanie, gdy zorganizowany i świadomy swych celów będzie miał w swem ręku narzędzia pracy i ster rządów krajowych, te dwa środki ucisku, będące w rękach garstki uprzywilejowanej.

Trzecią więc rękojmią naszą jest zasada samodzielnej polityki ludowej, jest ta zasada, że wyzwolenie klasy pracującej będzie jej własnem dziełem *).

*) Zaznaczmy tu, że zasada ta bywa czasami niezrozumianą, co prowadzi w stronnictwie socyjalistycznem do podziału członków na robotników i na ludzi z inteligencyi. Podział ten dziecinny jest wynikiem niezrozumienia zasady, której treść ma inne znaczenie. Interes pracy jako punkt wyjścia, świadomość, samodzielność oraz organizacyja masowa klasy pracującej jako konieczne warunki zwycięztwa — oto treść zasady. Nie może więc być sporu co do osobistości oddzielnych. Swoją drogą partyje robotnicze dobrze robią, jeśli strzegą się przed tak zwanymi „politykami", którzy nieraz usiłowali zrobić z niej narzędzia polityki różnych stronnictw burżuazyjnych.

Co słychać w świecie?

New York, 31 grudnia, 1888.

Drodzy towarzysze!

Piszę do was ze Stanów Zjednoczonych, — z kraju wolności i równości. Kłamstwo! Nie ma tu równości ani wolności, jak ich nigdzie nie ma, gdzie obok niezmiernych bogactw okropna nędza, a obok uniwersytów ciemnota ludu panuje.

Dnia 6 listopada 1888 r. naród amerykański wybrał Benjamina Harisona na prezydenta Stanów Zjednoczonych. I dlaczegóż to człowiek ten większością głosów obywateli amerykańskich został wybrany na tak wysokie stanowisko? Czyżby dlatego, że razu pewnego oświadczył, iż robotnik za swą pracę nie powinien otrzymywać więcej, niż dolara na dzień, a na strajkujących robotników najlepszem lekarstwem są kule karabinowe?! Nieszczęsny naród, katów swych wywyższa, aby panowali nad nim.

Politycy tutejsi przed wyborami przymilali się do robotników i obiecywali im rozmaite reformy, a obałamucony naród uwierzył im znowu, pomimo, że go już tyle razy oszukali. Po wyborach, rozumie się nie spojrzą oni nawet na robotników, a o dotrzymaniu danych obietnic nie ma co i mówić. Są oni przedstawicielami klas posiadających i muszę dbać o interesy tychże klas na szkodę ludu pracującego.

Robotnik amerykański od kolebki przywykł słyszeć, że jest wolnym i równym każdemu innemu; wierzy więc temu i jest głuchym na dowodzenia kapitału, jak i jego bracia w Europie. Robotnik tutejsi sądzi, iż to on wybiera urzędników tego kraju, zapominając o tem, że to nie on, lecz klika niecnych polityków wystawia kandydatów, a następnie namawia naród, aby głosował za tym lub owym łotrem, który, będąc wybranym, stara się wydawać rozmaite wyjątkowe prawa przeciwko robotnikom.

W mieście naszem Socyjalistyczna Partyja Robotnicza przyjęła udział w tegorocznych wyborach i wystawiła swych własnych kandydatów. I jakiż był tego rezultat? Tylko 2,400 należących do partyi, oświadczyło się za jej kandydatami, a masa ludu głosowała za swymi wyzyskiwaczami. Ludzie ci, nie pojmujący swych klasowych interesów; oddają swe głosy kapitalistom nietylko wskutek błędnego przekonania, iż, głosując za tę lub ową partyję, poprawię tem swój los nieszczęsny, lecz nawet bardzo często głosy swe sprzedają za parę dolarów lub kilka kufelków piwa.

Przyznać jednakże należy, że robotnicy tutejsi powoli zaczynają pojmować swe położenie i nie mają zamiaru dać się nadal wodzić za nos rozmaitym oszustom, którzy pod postacią przyjaciół ludu roboczego, jak np. znany w tutejszych kołach robotniczych ex-komunikowany ksiądz Mac Glynn, wpływ swój na robotników wywierają w tym celu, aby użyć ich za narzędzie do napełnienia swych kieszeni podczas wyborów. Robią to w ten sposób, że namawiają robotników do głosowania za tą lub ową partyją, która im t. j. politykom za to płaci. United Labor Party (Zjednoczona partyja robotnicza), w której głównym przywódzcą jest właśnie ów sławetny Mac Glynn, otrzymała obecnie tylko 10,000 głosów, podczas gdy przed dwoma laty kandydat tejże partyi, Henry George, otrzymał 68,000 głosów. Nawiasem wspominam, że demagog ten, który chciał użyć socyjalistów za narzędzie do dopięcia swych celów, wkońcu zdradził lud robotniczy i przeszedł na stronę kapitalistów.

Myśl socyjalistyczna jednakże znajduje powoli przystęp do umysłów tutejszej ludności robotniczej. Za najlepszy dowód tego służyć może uroczystość żałobna, która się odbyła dnia 10 listopada w wielkiej sali Cooper Union. Przeszło 4 tysiące osób obojga płci zapełniło salę aż do ścisku, a więcej niż dwa razy tyle dla braku miejsca musiało się wrócić do domu. Estrada była udekorowaną czerwonymi i czarnymi sztandarami różnych organizacyj robotniczych. Na przodzie estrady były umieszczone gipsowe popiersia dwóch naszych nieodżałowanych bohaterów: Augusta Spiesa i Ludwika Lingga. Chóry socyjalistyczne śpiewały odpowiednie pieśni, jak np. „Pamięci poległych", „Tkacze" Heinego i nasz hymn rewolucyjny „Marsylijankę." Następnie dwaj znani w tutejszych kołach robotniczych agitatorzy: John Most, redaktor *Freiheit* i Sergijusz Szewicz, redaktor socyjalistycznego czasopisma codziennego *New Yorker Volkszeitung*, wygłosili w językach niemieckim i angielskim mowy, w których wyjaśnili znaczenie tego dnia dla proletaryjuszów tego świata. Żałuję, iż brak miejsca w *Przedświcie* nie pozwala mi podać tych mów w całości, ograniczę się więc zakończeniem mowy Szewicza:

„Przypomnij sobie — mówił Szewicz — te trupy twych braci, jak zostały zdjęte z szubienic, „wolny" narodzie i powiedz sobie, że ty, ty sam jesteś mordercą tych bohaterów! Jak długo jeszcze będziesz znosić tę hańbę? Jak długo jeszcze na rozkaz twych najgorszych nieprzyjaciół będziesz sam siebie szarpał? O, chyba że już nie długo! Za to ręczy bezmyślna, podła i brutalna chęć do mordowania, którą się kierują ciż wrogowie twoi. Cierpliwość twoja ma także swe granice i wkrótce będzie wyczerpaną. Mordercy naszych męczenników sami grób sobie kopią i gdy nadejdzie dzień obrachunku, to grób ten będzie o wiele większy, niż te pięć małych pagórków na Waldheimskim cmentarzu, na które dziś kładziemy wieniec nieśmiertelności. A wtedy sprawdzi się głos, wydobywający się z tych pagórków: *Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor!*" (I powstanie mściciel z kości naszych!).

A. Moren.

NASI TOWARZYSZE

III.



JÓZEF BAJTE



STANISŁAW LANDY

Nasi towarzysze

III i IV.

Podajemy dziś nową seryję portretów naszych towarzyszy, którzy pracą swoją i życiem, pełnem poświęceń, zasłużyli na uznanie nasze.

Przy tej sposobności powtarzamy naszą prośbą, wyrażoną już w zeszłorocznym *Przedświcie*, o nadsełanie nam fotografij i życiorysów skazanych i zmarłych druhów naszych.

* * *

Józef Bajte, portret którego podajemy w tym numerze, został zamordowany w cytadeli warszawskiej 12 lipca 1879 roku. Okoliczności tego dramatu mało już teraz są znane, dlatego podajemy je wraz ze wzmianką o samej ofierze.

Bajte, aresztowany 19 kwietnia 1879 roku, urodził się w Krakowskiem, wychował się zaś na Ukrainie. W chwili mordu miał dopiero 18 lat. Pracował w Warszawie w fabryce maszyn. Z powodu wieku młodocianego nie zajmował się jeszcze propagandą; przygotowywał się tylko do późniejszej działalności. Przy areszcie nic u niego nie znaleziono, pomimo tego trzymano go wraz z innymi w więzieniu. W dzień zabójstwa nasz towarzysz siedząc na oknie, rozmawiał, jak to wszyscy czynili. Przepisy więzienne zabraniały co prawda wyglądać przez okno, ale więźniowie zdobyli sobie ten przywilej. Tymczasem żołnierz, stojący na warcie, zbliża się nagle do Bajtego i gburowato żąda od niego, by zszedł z okna. Bajte nie usłuchał, a inni więźniowie, którzy wszyscy byli u okien, rozśmiali się głośno. Żarty złościły żołnierza, ale nikt nie pszypuszczał, by się on posunął do zabójstwa. Niektórzy zeszli już z okien gdy nagle żołnierz, nie ostrzegając nikogo, podnosi karabin i pali do Bajtego. Kula przeszyła mu głowę i utkwiła w suficie. Śmierć nastąpiła natychmiast.

Wieść o zabójswie lotem błyskawicy obiegła cytadelę i do żywego wzburzyła więźniów. Zaczęto wołać dozorców, a gdy ci nie przychodzili, postanowiono w inny sposób okazać protest.

Pochwycono za stołki i w jednej chwili we wszystkich celach zabrzęczały szyby wybijane, a i drzwi w niektórych miejscacż pękać zaczęły od nacisku. Połamano wszystkie sprzęty; silniejsi porozbijali piece.

Po chwili nadbiegła żandarmeryja i zaczęła po kolei wiązać więźniów, obchodząc się przytem z nimi w sposób najbardziej grubijański. Najwięcej ucierpiał przytem przyjaciel Bajtego Wacław Sieroszewski, oraz jego towarzysz



WACŁAW SIEROSZEWSKI

w celi, Landy. Żandarmi wszedłszy do ich celi, zastali ich — jak mówią — „w groźnej postawie“, mianowicie: Landy miał w ręku opuszczoną na dół nogę od łóżka, a Sieroszewski cisnął w nich deską, która upadła, nie trafiwszy nikogo. Cała zgraja żandarmów i dozorców rzuciła się wtedy na nich; Sieroszewski, uderzony pięścią między oczy, padł nieprzytomny na ziemię; skrępowano go wtedy postronkami; Landego również rzucono na ziemię i skrępowano; obydwóch bito i kopano nogami.

Z innymi więźniami żandarmi obeszli się nie lepiej. Józefa Pławińskiego, suchotnika, obalili na ziemię i przygnietli mu piersi tak, że nieszczęśliwemu krew rzuciła się gardłem.

Wkrótce nadjechał prokurator. Rozpatrzywszy sprawę, kazał rozwiązać więźniów, ale oddał śledztwo prokuratorowi wojennemu. Niezadługo nastąpił sąd. Sieroszewskiego i Landego, za zbrojny „opór władzy“ skazano na katorgę (później zamieniono karę na osiedlenie we wschodniej Syberyi); Kleszczetnikowa, który dokonał morderstwa, uniewinniono, poczem władza nagrodziła go datkiem pieniężnym.

Jakie następstwo miał sąd, tak bezczelnie naruszający wszelkie uczucia sprawiedliwości, a nawet prawa istniejące, wskaże następujący fakt: W parę tygodni po wypadku inny żołnierz, stojący na warcie, widząc w oknie jakąś figurę, strzelił i zabił, ale nie więźnia, tylko żandarma, który się tam przypadkowo znajdował.

Wacław Sieroszewski, ślusarz, były uczeń szkoły technicznej, został aresztowany 8 września 1878 roku na dworcu kolei warszawsko-wiedeńskiej, gdy kupował bilet dla uchodzącego Tomaszewskiego. Za udział w proteście i „zbrojny opór“ skazano go na 8 lat katorgi; później karę zamieniono na osiedlenie we wschodniej Syberyi, z pozbawieniem wszelkich praw.

W Syberyi naszemu towarzyszowi, jako miejsce zamieszkania, naznaczono Wierchojańsk, nędzną mieścinę okręgu jakuckiego, w której towarzystwo dzikich jakutów, straszne mrozy i prawie nioustająca noc w zimie czynią życie zupełnie niemożebnem. To też Sieroszewski wkrótce powziął zamiar ucieczki. W lecie 1882 roku zdarzyła się sprzyjająca okoliczność: na oceanie Lodowatym w niezbyt wielkiej odległości, znajdował się statek cudzoziemski. Natychmiast zebrało się kilku zesłańców rosyjan (między nimi Zack, który w tych dniach otrzymał w Warszawie nowy wyrok) i wybrano się w drogę,— niestety bezskutecznie. Łódź żaglowa, na której zesłańcy uciekali, została zatrzymaną przez wiatry o 3 wiorsty od ujścia oceanu, a wkrótce przybyli kozacy i złapali uciekających. Biedacy musieli powrócić do niewoli.

Sieroszewski jest autorem znanego wiersza: „Czegóż chcą? “

Stanisław Landy, uczeń szkoły weterynaryjnej w Warszawie, aresztowany został w początku września 1878 roku. Oskarżono go o czytanie książek socyjalistycznych robotnikom. Za sprawę Bajtego skazano go na 12 lat katorgi, potem zmieniono wyrok na osiedlenie we wschodniej Syberyi z pozbawieniem praw.

Maryja Bohuszewicz aresztowaną została wraz z Razumiejczykiem, Strzemińskim i innymi 4 września 1884 r. w Warszawie. Bardzo wcześnie straciwszy rodziców i wydostawszy się z pod ucisku domowego, który tak często stoi na przeszkodzie kobietom, Bohuszewiczówna oddałaby bez wątpienia znaczne usługi sprawie, która pochłaniała całą jej istotę, gdyby nie zawczesny areszt, a później śmierć, wynik dwuletniego pobytu w cytadeli. Zmarła na suchoty w drodze do miejsca przeznaczenia, do Syberyi. Skazaną była na 5 lat osiedlenia we wschodniej Syberyi.

NASI TOWARZYSZE

IV.



KAZIMIERZ PUCHEWICZ



MARYJA BOHUSZEWICZ



TADEUSZ RECHNIEWSKI

STOLETNIA ROCZNICA

IV.

Jak lud obalił monarchiję we Francyi?

I.

Znajdujemy się w sierpniu 1792 r. we Francyi, trzy lata po wybuchu rewolucyi. Pomimo wzięcia bastylii, pomimo uwłaszczenia włościan i wszystkich innych reform, niszczących porządek szlachecki, zewolucyja jeszcze nie była zupełną, a co gorsza, była bez ustanku zagrożoną. Władza wykonawcza znajdowała się ciągle jeszcze w ręku króla, który dowodził wojskami, mianował urzędników i pobierał dochody państwowe; Oprócz tego król posiadał prawo *veto* (po polsku: nie pozwalam), czyli mógł odmówić swego zezwolenia każdej uchwale parlamentu. Jednem słowem, losy narodu znajdowały się ciągle jeszcze w rękach króla.

Tymczasem król ten nie przestawał knuć spisków przeciwko narodowi; była to rzecz zupełnie naturalna i konieczna; rząd, przywykły do władzy despotycznej, do starego porządku, przytem otoczony tłumami szlachty, która go podbudzała do obalenia zdobyczy rewolucyjnych, musiał korzystać z władzy, którą mu niebacznie powierzono. Dlatego też dochody państwowe szły na podkupywanie ludzi, zasiadających w parlamencie, podczas gdy armija nie otrzymywała nic, wyjąwszy te pułki, które stały w Paryżu lub jego okolicy i które spodziewano się zwrócić przeciwko ludowi. Tymczasem nad granicami Francyi zbierała się ogromna armija, złożona z austryjaków, wojsk różnych książątek niemieckich i emigrantów francuskich. Armija ta nie kryła się wcale z chęcią przywrócenia dawnej władzy królowi. Wreszcie w samym Paryżu rząd trzymał około siebie tłumy uzbrojonej szlachty, która mówiła otwarcie, że czeka tylko sposobności, by zmoczyć ręce we krwi ludu i pomścić wszystkie swe porażki.

Dlatego też słuszność zupełną miał Danton, który wówczas jeszcze całą swą duszą stał po stronie ruchu i który mówił, że konieczny jest „dodatek do rewolucyi.“ Dodatek ten nie kazał długo na siebie czekać.

Pod koniec lipca 1792 roku położenie zaostrzyło się z obu stron do najwyższego stopnia. Wróg zbliżał się do granic kraju; Belgiję i Holandyję zajęła 200-tysięczna armija niemiecka, która stłumiła tam ruch rewolucyjny i posuwała się naprzód, mając przed sobą tylko 40 tysięcy żołnierzy francuskich. Pod naciskiem rewolucyjonistów Francyja została ogłoszoną w niebezpieczeństwie i w całym kraju zaczęto przyjmować ochotników, życzących sobie bronić granic. Tysiące ludzi zapisywały się codziennie, ale wszystkich trwożyła ta myśl, że będą znajdywali się pod rozkazami generałów zdrajców, gotowych zaprzedać ich wrogowi, będącemu sprzymierzeńcem króla. Tymczasem w Paryżu zgromadziło się mnóstwo rewolucyjonistów. Na dzień 14 lipca sproszono ze wszystkich miast Francyi przedstawicieli, by przepędzić wspólnie to prawdziwe święto narodowe, rocznicę wzięcia i zniszczenia Bastylii. Ponieważ wiadomo było, jaki stosunek panuje między królem i ludnością paryską, więc goście z prowincyi szli z tem przekonaniem, że będą musieli się bić. Naturalnie, że poszli tylko ludzie najśmielsi. Potem, chociaż

obchód święta był skończony, większość nie wróciła do domu, ale pozostała w Paryżu, by bronić kraju przed zamachami królestwa. Ta armija zuchów dodawała otuchy paryżanom i zagrzewała ich do walki.

Taki był stan umysłów, gdy nagle, 26 lipca, książe Brunswik, jeden z wodzów armii nieprzyjacielskiej, wydając do francuzów manifest, użył w niem wyrażeń tak obelżywych, że nie mogły być ścierpiane przez ludzi wolnych. Ale nie dość na tem; manifest, który przy ówczesnych pocztach potrzebował co najmniej kilku dni, by dostać się do Paryża, zostaje ogłoszony w tem mieście już 28 lipca! Oczywistem się stało, że autorowie manifestu siedzą w Paryżu i knują zdrady z generałem niemieckim.

Ta kropla przelała czaszę. Wszyscy paryżanie zrozumieli, że powinni raz pozbyć się żmii, którą nosili na własnem łonie. To też 3 sierpnia zjawia się przed drzwiami parlamentu jedna z sekcyj*) paryskich i oznajmia mu następujące swe uchwały: 1) że swoboda nie może być ocalona zapomocą praw konstytucyjnych, 2) że przestają uważać Ludwika za króla i 3) że przyjdą w niedzielę, 5 sierpnia, po odpowiedź, zastrzegając sobie swobodę działania, gdyby była odmowną. Ta uchwała została rozesłaną do innych sekcyj i wszystkie, oprócz jednej, nastrojonej monarchicznie, przyjęły ją. Ponieważ dzień 5 sierpnia był zbyt blizki, więc uchwalono, że jeżeli 9 sierpnia nie będzie odpowiedzi do wieczora, to w całym Paryżu lud uzbroi się i siłą zmusi króla do wyrzeczenia się korony. Parlament, składając się w większej części albo z monarchistów, albo z ludzi przekupionych przez króla, albo wreszcie z takich, którzy chcieli reform, ale zarazem bali się obalenia królestwa,— nie zwrócił żadnej uwagi na żądania sekcyj.

Noc z 9 na 10 sierpnia zbliżała się. Z obu stron czyniono przygotowania do walki. Król miał po swej stronie oddział szwajcarskich najemników, liczący 1330 doskonałych żołnierzy, drugie tyle szlachty, która pod różnemi przebraniami wcisnęła się do pałacu i trochę żołnierzy. Wszystko to były wojska doskonałe, wyćwiczone i uzbrojone należycie, to też według świadectwa historyków wszelkie prawdopodobieństwo zwycięztwa było po stronie króla. Lud był licho uzbrojony (większa część miała tylko piki) i nieprzywykły do walki; czoło jego stanowili: 500 marsylczyków i 300 bretonów, którzy po święcie 14-go lipca pozostali w Paryżu, czekając niecierpliwie wypadków.

Wreszcie nadeszła tyle oczekiwana noc z 9-go na 10 sierpnia. Przez cały dzień poprzedni do pałacu królewskiego, Luwru, znoszono kłody dębowe dla zatarasowania okien, ustawiono armaty itp. Rachuba monarchistów była następująca: wciągnąć lud na jedno z podwórz zamku i tam wykartaczować i wystrzelać go z okien. Rachuba ta, jak zobaczymy niżej, powiodła im się w części. Oprócz tego na mostach i głównych ulicach, prowadzących do zamku, ustawiono w pewnej odległości wojsko i armaty, które miały prażyć uciekających.

W dzień przedmieścia były ciche. Ale wieczorem wszystkie sekcyje zbierają się i posełają po 3 delegatów do ratusza. Ci delegaci mieli zastąpić zasiadającą ram radę miejską i stanowić odtąd prawną władzę w Paryżu. Stara rada miejska była nastrojona monarchicznie, ale wiedząc, że za tymi delegatami stoją sekcyje, ustąpiła. W ten sposób rewolucyjoniści zdobyli sobie władzę w mieście i narodziła się owa słynna Komuna 1792 roku, która miała panować nad Paryżem, a pośrednio nad Francyją przez cały czas rewolucyi.

Tymczasem inni delegaci rozbiegli się po całem mieście i zaczęli bić w dzwony na gwałt. Ale ludność nie prędko wstawała. Ulica ś. Antoniego, przecinająca przedmieścia, była pusta; w ciasnych zaułkach widziano za to światła, przebiegające szybko z okna do okna; ludzie wstawali i przygotowywali się do walki. Niektórzy, bardziej niecierpliwi, stali już przed drzwiami swych sklepików lub warsztatów, w pełnem uzbrojeniu, inni schodzili się zwolna. To opóźnienie o mało co nie stało się śmiertelnem dla powstania, gdyż gorętsi, którzy od dawna byli zgromadzeni, widząc powolność reszty, zwątpili i chcieli zaprzestać dzwonienia. A wróg mógł lada chwila wypaść z zamku i straszną rzeź zrobić wśród niezorganizowanych obywateli.

Ale na szczęście w otoczeniu króla jeszcze większe było zamięszanie. Nikt nie chciał dawać rozkazów, bojąc się odpowiedzialności, a rozkazy wydane nie były wypełniane.

Wtenczas to nastąpiła pierwsza uchwała nowej rady miejskiej; rozkazała ona wojskom królewskim, zajmującym mosty, by się cofnęły i pozwoliły ludowi przejść. I taka była potęga tego słowa: w imieniu ludu, że dowódzca artyleryi cofnął się i wrócił do zamku!

Zwolna, jeden po drugim, nadpływały oddziały zbrojne na ulicę ś. Antoniego, będącą w środku ruchu. Nad ranem stało już tam 80 do 100 oddziałów, liczących każdy po 100 ludzi. Większa część miała strzelby, ale 2 do 3 tysięcy — tylko piki. Ci ostatni, bardziej niecierpliwi, nie wytrzymali i ruszyli naprzód, pozostawiając resztę za sobą. Znaleźli się wkrótce koło zamku i zaczęli wyłamywać drzwi, prowadzące do podwórza.

W zamku tymczasem wszyscy potracili głowy; jedni tylko szwajcarzy stali spokojnie, z nabitą bronią, na podwórzu; a szlachta obsadziła wszystkie okna i balkony, by módz strzelać, nie narażając się na niebezpieczeństwo. Ale dworacy szaleli ze strachu. Na widok zbliżającego się tłumu padają na kolana przed królem i błagają go, by uszedł z pałacu i schronił się w parlamencie. Król, po pewnem wahaniu zgadza się i wychodzi wraz z królową i synem pod silną eskortą.

Dźwięk dzwonów zbudził członków paralamentu, którzy zaczęli się schodzić po północy w swym budynku. Większość z pomiędzy nich należała do burżuazyi, która z jednej strony chciała reform, a z drugiej obawiała się zwycięztwa ludu; to też zgromadzenie to przez cały ciąg walki drżało, obawiając się zwycięztwa tak jednej, jak i drugiej strony. Król, przybywszy do nich, powiedział im, że się oddaje pod ich opiekę i został umieszczony w loży pisarza publicznego.

A w zamku już krew zaczynała się lać. Lud, rozjątrzony wystrzałami, pochodzącymi ze strzelb niewidzialnych, nacisnął na drzwi, wyłamał je i wdarł się na podwórze. Zresztą drzwi te umyślnie dla zasadzki nie były bardzo mocno obsadzone. Nie przeczuwając zasadzki, kilkuset ludzi, mających piki i noże za całą broń, wbiegło do wnętrza. Przed nimi wznosiły się czarne mury średniowiecznego zamczyska, podziurawione zakratowanemi oknami; po obu bokach były schody, a na nich szwajcarzy nieruchomi, podobni do posągów, z wymierzonemi na lud strzelbami. Po chwili wahania, zbliżono się do tych ponurych postaci; wrodzona dobroduszność ludu paryskiego bierze górę i wszyscy pchają się do szwajcarów z wesołymi żartami, dowodząc im, jakiej obrzydliwej sprawy bronią. Nagle, na dany znak, z obu stron podwórza sypie się grad kul. Padając w tłum zbity, każda z nich trafia. Powietrze napełnia się jękami umierających i dymem prochowym, który nie może się wydostać z pomiędzy murów i zaściela ziemię. Nawpół bezbronni paryżanie chcą uciec, ale trupy ich towarzyszy wznoszą się przed nimi, jak wał nieprzebyty. Tymczasem ogień nie ustaje ani na chwilę: strzelają szwajcarzy, strzelają i arystokraci, ukryci za oknami; mierzyć nie potrzeba, gdyż każda kula trafia. A po kilku chwilach już nie ma w kogo mierzyć; cisza grobowa napełnia powietrze, tylko w środku wznosi się góra trupów. Około 400 ludzi zginęło w ten sposób.

Reszta, widząc tę rzeź i czując, że pikami nie podobna zwalczyć ukrytych, a uzbrojonych wrogów, pierzcha w nieładzie; monarchiści z tryumfem wybiegają i mordują uciekających. Przez chwilę zdawało się, że król zwyciężył.

Ale to była tylko przednia straż. Armija zbliżała się dopiero teraz. Monarchiści nie zdołali jeszcze ochłonąć z upojenia, spowodowanego łatwem zwycięztwem, gdy pierwsze szeregi rewolucyjonistów nacierały już na nich.

Wieść o nikczemnym podstępie rozeszła się w jednej chwili po Paryżu i napełniła serca jego mieszkańców wściekłością.

— Całowaliśmy ich, jak braci... — mówiono — gdy wtem wypalili do nas...

Ale i teraz nie tak łatwo było zwyciężyć: grube mury zamku, wielka ilość okien, strzelnic z balkonów, wreszcie brak artyleryi u oblegających (mieli tylko 4 działa), — wszystko to pogarszało sprawę. To też walka trwała jeszcze po południu 10 sierpnia. Naprożno deputowani zwracali się do króla, błagając go, by dał rozkaz szwajcarom zaprzestania ognia; nie chciał tego uczynić, póki istniała nadzieja zwycięztwa.

Ale lud brał jedną pozycyję po drugiej. Szwajcarzy byli zniechęceni ucieczką króla, podczas gdy siły rewolucyjonistów zwiększała chęć zemsty za braci pomordowanych. Nareszcie, nie mogąc wytrzymać nacisku, szwajcarzy oraz arystokraci, którzy. dla niepoznaki, poubierali się w ich mundury, zaczęli się wycofywać z zamku przez ogród Tuilleryj. Przez pewien czas cofali się w porządku, ale zwolna strach zaczął robić swoje, szeregi poczęły się łamać, a wreszcie, doszedłszy do Placu Rewolucyi, wszyscy rozpierzchli się, szukając ocalenia w ucieczce. Słusznie rozdrażniony tłum mordował ich na ulicach. Szlachta, która pozostała w zamku, zdołała niestety ukryć się i ujść potajemnymi schodami*).

Luwr był wzięty. Potęga królewska złamaną została. I wtenczas ci sami członkowie parlamentu, którzy przed 6 dniami z pogardą odrzucali żądania sekcyj paryskich, teraz wzięli je pod obrady.

Jak już powiedzieliśmy, król uciekł do parlamentu. Przybywszy tam, odzyskał zimną krew i zaraz zabrał się do jadła. Odwaga zaś deputowanych wzrastała z wieściami o nowych zwycięztwach ludu.

Opowiadają ciekawą rozmowę, która wtedy miała miejsce między królem a jednym z deputowanych Davidem, sławnym malarzem, u którego król zamówił był swój portret:

— Kiedyż będzie gotów mój portret?.. — pyta król malarza.

— Postanowiłem — brzmiała odpowiedź — malować głowy tyranów tylko wtedy, gdy je będę miał w swym kapeluszu...

Tymczasem lud i Komuna rewolucyjna sformułowali swe żądania, a mianowicie zniesienie monarchii. Izba wszakże, zadowolona ze zwycięztwa nad królem, nie chciała jednakże oddać się zupełnie w ręce ludu. Postanowiła zatem nie zniesienie monarchii, ale zawieszenie króla w jego czynnościach oraz zwołanie ludu do wyboru nowego parlamentu, który miał się nazwać Konwentem narodowym. Wszyscy obywatele kraju mieli otrzymać prawo glosowania; pierwszy to raz wprowadzono do Francyi powszechne głosowanie.

Król miał zostać pod strażą. Komuna czyli rewolucyjna rada miejska uważała wszakże, że niezupełnie pilną będzie straż, która pozostanie w rękach parlamentu i dlatego przeniosła króla do starego zamczyska *Temple*, równającego się zupełnie więzieniu.

Ludność zaczęła przygotowywać się do wyborów. Tymczasowo w Paryżu były dwie władze: stary parlament i Komuna paryska.

II

Położenie Francyi było wówczas trudne. Z jednej strony połączone armije monarchów posuwały się naprzód i pustoszyły kraj; z drugiej strony arystokracyja i monarchiści wewnątrz kraju spiskowali, podając rękę zewnętrznemu wrogowi. Emigranci szlacheccy formowali za granicą legijony, które razem z nieprzyjacielem walczyły przeciw wyzwalającej się z ucisku wewnętrznego ojczyznie. Szlachta i księża starali się przytem bałamucić ciemną ludność wiejską, by użyć ją jako narzędzie i zrobić ją nieświadomą wspólniczką zdrady. Generałowie i oficerowie, z zasad monarchiści, kierowali się interesami swej klasy i ułatwiali wrogowi najście na swój własny kraj. Nawet taki Laffayette **) knuł zdradę przeciwko swemu własnemu

*) Cały Paryż był podzielony na 48 sekcyj, czyli cyrkułów; sekcyje te przyjęły zwyczaj zbierania się i naradzania nad wszystkiemi ważniejszemi sprawami publicznemi; uchwały powzięte zanoszono tłumnie do parlamentu. Władza nie była prawnie zmuszoną poddawać się uchwałom sekcyj, ale musiała liczyć się z niemi, gdyż one stanowiły ludność Paryża i mogły poprzeć swe żądania orężem.

*) Straty rewolucyjonistów w dniu 10 sierpnia wynosiły około 1600 zabitych. Obrońców króla zginęło mniej, bo około 1400, gdyż ci byli zasłonięci murami zamku.

**) Laffayette walczył razem z Kościuszką w Ameryce, odegrał także pierwszorzędną rolę na początku rewolucyi franc. Należał on wszakże do umiarkowanych; gdy więc spostrzegł, że lud sam coraz dalej idzie, zdradził sztandar wolności, połączył się z królem a nawet z najezdzcami. Jest to nauka dla ludu!

krajowi. Gdy plany jego zostały odkryte i gdy się okazało, że wojsko nie usłucha go, zdrajca ten uciekł do wroga, gdzie go wszakże zaaresztowano jako liberała. Wieści, które nadchodziły z granicy, nie wróżyły nic dobrego.

Wiadomości o ucieczce Laffayette'a, o poddaniu się twierdzy Longwy, o zbliżaniu się armii najeźdźców, z którymi szli ręka w rękę arystokraci i monarchiści, o spiskach monarchicznych wewnątrz kraju itd., wszystko to rozbudziło fantazyję ludu. Zgromapzenie prawodawcze (ówczesny parlament) wydał dekret, wzywający ludność do broni i do obrony kraju; zewsząd spieszyły oddziały nowozaciężnych; całe wsie szły do granicy...

— Z chęcią — mówili ochotnicy — oddamy życie w obronie wolności i kraju, ale cóż z tego poświęcenia naszego wyjdzie, jeśli za plecami naszemi w kraju zwolennicy króla i arystokraci będą bezkarnie spiskowali przeciw nam i przeciw swobodzie...

Ostatnie wypadki dowiodły, że król rzeczywiście spiskuje, że arystokraci myślą nawet o zbrojnej napaści na tylko co wprowadzoną do kraju wolność; nic więc dziwnego, że ludność była zaniepokojoną. Jedyny ratunek mógł dać parlament, gdyby on sprężyście wystąpił przeciw monarchistom i w ten sposób uspokoił słusznie wzburzoną ludność.

Tymczasem parlament był chwiejny. Znaczna część burżuazyi walczyła z królem, ale jeszcze więcej obawiała się ludu. Każdy krok naprzód, który rewolucyja robiła, przestraszał większość parlamentu, który ani mógł się cofać, ani też chciał iść naprzód — Ztąd wahanie się i chwiejność. Najlepszym dowodem tej chwiejności są następujące fakty: Zwycięzka w dniu 10 sierpnia ludność żądała ukarania wszystkich tych, którzy z rozmysłu wywołali walkę i w ten sposób przyprawili o śmierć tylu obrońców wolności. Od 13 sierpnia Komuna rewolucyjna domaga się ustanowienia sądu, ale na trzykrotne przedstawienia parlament nie daje swej zgody; dopiero czwarta deputacyja wyrywa parlamentowi uchwałę sądu nad zdrajcami ludu. Niemniej ważną była druga uchwała, powzięta za inicyjatywą Komuny rewolucyjnej, a mianowicie odbycie rewizyj u osób podejrzanych i rozbrojenie monarchistów. Parlament upoważnił Komunę do odbycia rewizyj, które też miały miejsce dnia 29 sierpnia, ale w kilka dni potem, jakby żałując swej uchwały, narzekał na Komunę za jej postępowanie.

Ta chwiejność Zgromadzenia, które było niejako najwyższą władzą, jeszcze bardziej zaniepokoiła ludność, zaprzątniętą z jednej strony wyborami do Konwentu, a z drugiej myślą o najezdniczych armijach, które w porozumieniu ze stronnictwem króla i szlachty pustoszyły kraj.

Pierwszego września rozeszła się wieść o oblężeniu twierdzy Verdun przez prusaków. W razie upadku twierdzy nieprzyjaciel miał otwartą drogę do Paryża. Parlament radził już o tem, by się przenieść do środka Francyi i opuścić Paryż. Masy ludu wybierały się „na granicę“, by bronić rewolucyi i kraju. Przed wyjazdem wszakże tłum chciał wiedzieć, co będzie ze spiskowcami szlacheckimi i z tymi, którzy 10-go sierpnia nie wahali się zdradziecko mordować ludność paryską.

I oto nadszedł dzień 2-go września. Niespokojna i rozgorączkowana ludność, zrażona wahaniem się parlamentu, obawiając się zdrady ze strony monarchistów, przestraszona, że sąd uniewinniał najbardziej skompromitowanych monarchistów, nie chcąc po opuszczeniu miasta zostawić wolnego pola spiskom króla, powziął raptownie myśl wyrządzenia sobie samemu sprawiedliwości.

Tłumy stały na ulicach. Wtem ukazał się powóz z księżmi, uwięzionymi za nieposłuszeństwo władzy i za spiskowanie z wrogiem. Ludność na ulicy poczęła robić wyrzuty więźniom; jeden z księży drągiem uderzył w głowę jakiegoś biedaka, który zbliżył się do wozu z wymówkami za zaradzieckie postępowanie kleru. Widzowie, oburzeni tą bezczelnością zdrajców, rzucili się na więźniów, mordując ich bez pardonu. Natychmiast tłumy całe ruszyły ku więzieniom, by tam rozprawić się z aresztowanymi monarchistami.

Wśród więźniów byli spiskowcy królewscy, szwajcarzy, którzy 10 sierpnia tak podle postąpili z ludem, dalej fałszerze asygnat, którzy w celu podkopania rewolucyi, chcieli zniszczyć kredyt krajowy i w ten sposób obezwładnić zgromadzenie, potrzebujące dla wojny z wrogiem pieniędzy i kredytu.

Tłum, który rzucił się na więzienia, był rozgorączkowany. To też nie liczył się on z dowodami i nie robił wielkiej różnicy między więźniami.

Przesadą jednak jest mówić o tem, że lud był krwiożerczym. Oto fakt, który najlepiej maluje nastrój ludu. W cgwili najgorętszej walki i bezlitośnego mordowania więźniów jeden z tłumu poznaje w kupie więźniów proboszcza Siccard'a (Sikarda):

— Tego nie turbujcie... — woła on swym towarzyszom. — Jest to Siccard, nauczyciel głuchoniemych, człowiek pożyteczny ludzkości...

Zaraz tłum otacza proboszcza, wynosi go na rękach z więzienia i darowuje mu wolność oraz życie.

Już zmierzch zapadał, gdy ludzie, litujący się nad więźniami, zaczęli namawiać tłum do wyznaczenia z pośród siebie sądu. Tłum zgodził się i ustanowił sąd, któryby pomógł odróżnić niewinnych od przestępców. Tym sposobem mnóstwo ludzi zostało uwolnionych. Sędziowie, którym prezydował Maillard, przesłuchiwali więźniów; winnych odsełali do więzienia, zkąd zaraz prowadzono ich na śmierć; ci zaś, przeciw którym nie było żadnych zarzutów, otrzymywali zaraz wolność. Każde uniewinnienie bywało witane okrzykami radości; uniewinnionych tłum obejmował i serdecznie witał.

Oto naprzykład nadchodzi kolej na niejakiego Webera, austryjaka, fanatycznego przeciwnika rewolucyi.

— Jesteś wolny... — mówi mu sędzia — ale ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, trzeba byś wstąpił do legijonów...

Weber zawahał się i nie dawał odpowiedzi; po chwili zaczął się wymawiać tem, że ma siostrę, matkę...

— A my... — woła jeden z tłumu — czyż my nie jesteśmy mężami, ojcami lub synami?...

Weber przysięga, a lud raduje slę z uniewinnienia.

Inny arystokrata zapytany został przez przez sędziego o swe przekonania. Oskarżony był szczerym i wyznał, że jest gorącym zwolennikiem króla.

— Nie sądzimy przekonań, a uczynki...— odpowiada sędzia i uwalnia więźnia ku wielkiej radości tłumu.

Innego uwolnionego tłum odprowadza do rodziny, by widzieć jej radość, a gdy bogaty więzień chce dać kilku biedakom z tłumu pieniądze, ci odrzucają przyjęcie datku:

— Nam nie o pieniądze, ale o przyjemność chodzi...

W jednem z więzień siedział starzec de Sombreuil, zwolennik króla. Syn jego bił się przeciw swej własnej ojczyznie i dostał nawet order od króla pruskiego za zdradę swego kraju. Sędzia Maillard, gdy wszedł do jego celi, powiedział:

— Nie rozbierajmy wcale tego, czy starzec ten jest winnym czy niewinnym... Niegodnem byłoby ludu broczyć swe ręce w krwi takiego starca...

Tłum radosnymi okrzykami potwierdził słowa sędziego. Gdy córka, która była przy starcu, zemdlała ze wzruszenia, tłum pospieszył jej z pomocą, przynosząc jej napój orzeźwiający *).

Tak postępował krwiożerczy lud. Ale ofiar zginęło dużo. Ci, którym, według zdania tłumu, zdrada lub zbrodnia jakaś była udowodnioną, ginęli odrazu. W ten sposób w przeciągu dwóch dni zginęło w Paryżu i na prowincyi około 1800 ludzi, w liczbie których była znaczna ilość zwykłych zbrodniarzy i przestępców.

O jednym epizodzie chcemy jeszcze powiedzieć słów kilka. W jednem z więzień tłum znalazł panią de Lamballe (Lambal) z dworu królewskiego. Była to jedna z najbardziej rozpustnych kobiet arystokratycznych, rujnująca nietylko kochanków swych, ale i fundusze krajowe. We wszystkich intrygach dworskich była ona zamięszaną, a jako przyjaciółka królowej, pomagała ona jej w stosunkach zdradzieckich z najeźdźcami. Sędzia proponował jej wyrzec się stronnictwa królewskiego, ale ona odmówiła. Została więc skazaną na śmierć. Lud widział w niej uosobienie wszystkich zbrodni monarchizmu, całego zepsucia, które dwór ówczesny szerzył po kraju, nierządu, nurtującego organizm społeczny. To też po wyroku jeden z tłumu podniósł głowę księżniczki, wsadził ją na pikę i wzywał obecnych, by przejść tak około pałacu królewskiego, a raczej około więzienia, w którem wtedy siedział król ze swą rodziną. Część tłumu poszła za nim i dziwny ten orszak w pląsach ruszył przed więzienie królewskie.

Królowa wyglądała wtedy przez okno, ale ze strachem cofnęła się. W tej chwili musiała przypomnieć sobie wszystkie intrygi swe, wszystkie spiski, knute przez nią przeciw rewolucyi. Cóż one pomogły?.. Jeszcze zgromadzenie prawodawcze nie miało odwagi znieść monarchii; ono zawiesiło tylko króla w jego czynnościach. A lud coraz dalej szedł i zwycięzko prowadził naprzód sztandar rewolucyi. Próżne były jej zabiegi, bezsilnymi okazali się monarchowie Europy!

Lud zaś cieszył się i tańczył: zapomniał on o krwi tylko co przelanej. Zdawało mu się, że zbrojny w zwycięztwo swej idei, zdobył już sobie niezwyciężoną przyszłość. Niostety! Za prędko złożył on broń i w ten sposób pozwolił on zdradzie wyjść na wierzch.

Nie uprzedzajmy wszakże wypadków i nie mąćmy smutkiem chwil zwycięztwa, wspomnień o sile ludowej.

Tak przeszły te dwa dni, które historyja ochrzciła mianem rzezi wrześniowej. Od tego czasu ile potwarzy i oszczerstw rzucono na rewolucyję i na lud paryski? Ile kłamstw i brudów wydobyło się z pod pióra burżuazyjnych pisarzy, usiłujących napiętnować lud, wołający o swe prawa?

Krwiożerczość ludu! O, panowie pisarze, którzy tak hojnie obdarzacie potwarzami rewolucyjonistów, dlaczego wy zapominacie o tych krwawych dniach, któremi **wasza** historyja jest przepełnioną?

Zapominacie o tem, że pismo święte przepełnione jest opowiadaniami o rzeziach, dokonanych za zgodą boga! Zapominacie, że historyja starożytna na każdym kroku mówi o mordach masowych, które wy nazywacie bohaterstwem! Oto naprzykład na wyspie Sycylii mieszkańcy w nocy mordują wszystkich francuzów, a wy tę rzeź, przezwaną „wieczerz sycylijska“, uważacie za chlubę patryjotyzmu sycylijskiego! Takich „bohaterstw“ wasza historyja dużo może naliczyć! A czy kto z rewolucyjonistów *za to* rzuca klątwę na dzisiejszy stan rzeczy?..

Ale sto lat temu, gdy rzeź miała miejsce, gdy więźniowie ginęli z rąk ludu zrozpaczonego, co mówili przedstawiciele rządu, deputowani, pisarze, literaci itd.?.. Zgromadzenie prawodawcze, które już ustępowało miejsca Konwentowi nowowybranemu, zawiadomione o zajściach po więzieniach, nie debatowało wcale nad tem i ograniczyło się na wysłaniu kilku delegatów. Gdyby Zgromadzenie całe ruszyło ku więzieniom, zapewniło lud, że potrafi ocalić wolność i okiełznać spiski królewskie, rzeź nie miałaby wcale miejsca. Ale Zgromadzenie nie chciało być energicznem; z jednej strony obawiało się ono monarchistów, z drugiej chciało sobie zostawić furtkę dla przyszłego z nimi pogodzenia się. Nic więc dziwnego, że Zgromadzenie w duszy było zadowolone z postępowania ludu i nie myślało mu przeszkadzać. Całe dziennikarstwo liberalne nazajutrz po wypadkach bynajmniej nie obwiniało ludu za krwawy początek września; przeciwnie: tłomaczyło postępowanie ludu i rzucało gromy na stronnictwo monarchistyczne, które kraj doprowadza do rozpaczy.

I jakże mogli mówić inaczej, i jakże mogli wtedy pisać inaczej, kiedy już 3-go września nadchodzi wiadomość o poddaniu się twierdzy Verdun. Burżuazyja tego miasta, która była po stronie króla, zmusiła komendanta twierdzy do poddania się. Komendant z rozpaczy i wstydu zastrzelił się, a nikczemni monarchiści porozumieli się zaraz z wrogiem, któremu w ten sposób otwierali na rozcież drogę do Paryża.

Zgromadzenie prawodawcze było w strachu, a lud, który po rzezi uspokoił się i miał mniej obawy o spiski monarchistyczne, z zapałem się uzbrajał i opuszczał Paryż, by po poddaniu się fortec zrobić z piersi swych niezwyciężony wał.

---

*) Później monarchiści i potwarcy rewolucyi przekręcili opowiadanie. Według nich, córka de Somreuil'a błagała lud o życie dla ojca. Tłum się zgodził pod warunkiem, że córka wypije szklankę krwi ludzkiej. Bezczelna potwarz!

Ten lud, którego nikczemni pisarze spotwarzali potem, ten lud, którego mordercą zwano, ten to lud biegł ku granicom kraju, by bronić ojczyzny i wolności. I ten lud ocalił wtedy Francyję.

Izba zaś, która miesiąc temu nie chciała słyszeć o obaleniu monarchii, teraz zrozumiała, że musi ustąpić ludowi. Dnia 4-go września, gdy wieść o poddaniu się twierdzy Verdun sprawdziła się, jeden z deputowanych, Chabot (Szabot), krzyknął:

— Precz z królami!..

Cała Izba zawtórowała okrzykowi i przysięgła bronić wolności i równości!.. Z chwilą tą monarchija przestała istnieć. Nowowybrany Konwent miał już tylko uświęcić prawem fakt dokonany. Lud już 10-go sierpnia zniósł królestwo: Izba przedłużyła mu żywot. Dnie wrześniowe przestraszyły umiarkowanych; czuli się oni zmuszeni do nowych ustępstw na korzyść rewolucyi. Zobaczymy teraz, co Konwent zrobił i jak on wywiązał się ze swego zadania.

III

Nazajutrz po wypadkach wrześniowych ludność Paryża opuszczała miasto, by spieszyć na obronę kraju. Wtedy to miały miejsće kradzieże w Paryżu, które konserwatywne stronnictwo później zrzucało na barki republikanów. Tymczasem złoczyńcy zostali pochwyceni i wszystkie dokumenty świadczą, że żadne stronnictwo w kraju nie było skompromitowane temi wypadkami. Zresztą: jest to zrozumiałe, że w chwilach zamętu złoczyńcy chcą dla siebie rybę łowić; złoczyńców tych wyhodował porządek stary, oparty na przywilejach i wyzysku. Na ten więc porządek spada odpowiedzialność za czyny jego kryminalnych wychowańców.

Rada miejska Paryża znalazła i winowajców kradzieży i przedmioty ukradzione. Wtedy wszakże były potrzebne pieniądze na uzbrojenie i podróż ochotników, a zgromadzenie prawodawcze nie miało dosyć sił i energii, by odpowiodzieć swemu zadaniu. To też Rada, nie czekając ani chwili, sprzedawała natychmiast znalezione kosztowności i wysełała na granice kraju coraz to świeże zastępy. Być może, że niejeden z tych, którzy głośno prawili o rewolucyi, obłowił się wtedy; przed rewolucyją nawet są tacy „niezadowoleni“, którzy pod pozorem idei myślą o swojej kabzie. Ale i za tych nie rewolucyja jest odpowiedzialną.

Stronnictwo umiarkowane skorzystało wszakże z wypadków i poczęło obwiniać Komunę i jej zwolenników o mord i grabież. Szczególnie gdy wybory w Paryżu dały większość jakobinom*), umiarkowani chcieli oddziaływać w ten sposób na bardziej ciemną prowincyję. I właśnie wtedy, gdy trzeba było się połączyć, by załatwić kwestyję z królem, by odeprzeć najeźdźców; umiarkowani i tak już rozwściekleni za to, że musieli obiecać ludowi zniesienie monarchii, potwarzami i intrygami chcieli zaszkodzić rozwojowi rewolucyi.

A na granicy kraju nieprzyjaciel wciąż naprzód postępował. Młode legijony, niewprawne do walki, zbierały się dopiero, szykowały do boju. Generał Dumourier (czytaj: Dimurie), który później okazał się zdrajcą, wtedy wszakże spełniał obowiązki obywatela kraju. Dnia 20-go września nastąpiła tak zwana bitwa pod Valmy, która rzuciła postrach na armije królewskie. Sławny poeta niemiecki, Goethe, który wtedy był w obozie niemieckim, jako towarzysz jednego z książąt niemieckich, bardzo trafnie charakteryzuje ten dzień:

— Ten dzień i to miejsce stworzą w historyi nową epokę...

Dodajmy, że wojska rewolucyjne nie odniosły zwycięztwa w zupełnem tego słowa znaczeniu. Ale rekruci, nowozaciężni obrońcy wolności wystąpili tu do walki z wrogiem dobrze uzbrojonym, z wytrawnymi sołdatami, a ci ostatni musieli nieraz ustąpić, a nawet pierzchać przed zapałem młodego żołnierza, którego wolność i równość zagrzewały do boju.

Podczas gdy na granicy kraju obrońcy wolności tak świetne odnoszą zwycięztwo, w Paryżu nazajutrz po bitwie pod Valmy monarchija zostaje zniesioną.

*) Stronnictwo skrajne ówczesne nazywało się jakobińskiem. W jednym z przyszłych numerów *Przedświtu* poświęcimy mu obszerny artykuł.

Dnia 21 września ma miejsce pierwsze posiedzenie Konwentu. Jeden z pierwszych zabrał głos deputowany Couthon (Kuton):

— Zwołani jesteśmy ze wszystkich części kraju, by zredagować projekt umowy społecznej. Mówię projekt, ponieważ sądzę, że zgoda panuje co do tego, by konstytucyję oddać pod głosowanie ludu.. Nasze zadanie jest wielkiem, jest wzniosłem, ale im więcej ufności okazał nam lud, tem bardziej powinniśmy się starać o to, by okazać się godnymi tego zaufania. Nie mam obawy, by w projektach konstytucyi, które tu będą przedstawione, zaszła jeszcze mowa o monarchii... Monarchija bowiem jest rządem niewolników i francuzi byliby niegodni tej wolności, którą już zdobyli, gdyby myśleli jeszcze o formie rządów, którą czternaście wieków zbrodni dostatecznie napiętnowało... Ale nietylko monarchiję trzeba znieść; należy także zwalczać wszelkie panowanie osobiste, które ma na celu ścieśnić prawa ludu i obraża uczucia równości...

Widzimy więc, że mówcy, jak i znaczna część Konwentu przemawiali jasno o upadku monarchii. Szło im teraz jeszcze o to, by zaręczyć się na przyszłość, by uniknąć dyktatury i wszelkiej innej formy rządu osobistego. Dlatego też Konwent uchwalił natychmiast następującą rezolucyję: „Konwencyja narodowa oświadcza, że nie masz konstytucyi, jeśli ona nie jest przyjętą przez lud.“ Uchwała ta zapowiadała prawodawstwo ludowe, to jest że ważniejsze prawa będą oddawane ludowi do głosowania nad niemi.

Druga uchwala Konwentu brzmiała, że „bezpieczeństwo osób i własności będzie pod opieką narodu.“ Uchwała ta miała na celu uspokojenie burżuazyi, która obawiała się dalszego rozwoju rewolucyi. Nie trzeba nam zapominać ani na chwilę, że kierunek rewolucyi pozostawał w rękach burżuazyi. Lud ciągłymi buntami pchał wprawdzie rewolucyję naprzód, ale nieuświadomiony, nie umiał nią pokierować sam. To też burżuazyja, zmuszona robić ludowi ustępstwa, pozwala rozwijać się politycznym zmianom, nie zapominając ani na chwilę o swej własności. To właśnie tłomaczy nam, dlaczego rewolucyja została w końcu zgnieciona.

Wtedy wszakże lud nie „spal“ i Konwent działał w jego myśli. Oto zabiera głos Manuel:

— Wprowadzacie ludowładztwo, to dobrze, ale trzeba uwolnić lud od rywala, którego ma. Pierwsza rzecz, gtóra się nam nasuwa, to kwestyja monarchii, bo nie sposób nam mówić o nowej konstytucyi, póki mamy króla...

Kwestyja była jasno postawioną, ale w Konwencie byli jeszcze tacy, którzy chcieli przeciągnąć sprawę. Ponieważ — mówią oni — lud ma sam głosować nad formą rządu, my nie możemy znosić Królestwa. A 10 sierpnia? A upominanie się ludu o wolność i równość? Czyż lud nie zniósł już monarchii?.. Widzimy więc, że nawet wtedy zdrada przemyśliwała jeszcze nad tem, jak przedłużyć królowi panowanie. Zabrał wtedy głos proboszcz Gregoire (Greguar), który przeszedł na stronę ludu:

— Nikt z nas — mówi on — nie zaproponuje ludowi, by zachował nikczemną rasę królów... Aż nadto dobrze wiemy, że wszystkie dynastyje były żarłocznemi zwierzętami, żywiącemi się mięsem ludu. Ale przedewszystkiem trzeba uspokoić przyjaciół wolności. Trzeba zniszczyć ten talizman, którego siła magiczna może zdziwić wielu ludzi... Żądam więc, byśmy prawem uświęcili zniesienie królestwa...

Izba przerywa mówcy okrzykami:

— Zgoda!..

Greguar potem mówi:

— Eh!.. I po co to rozprawiać nad rzeczą, w której wszyscy są zgodni?.. Królowie w świecie moralnym są tem samem, co potwory w świecie fizycznym... Dwory są warsztatem zbrodni i knieją królów. Historyja królów, to historyja męczeństw ludów... Żądam więc głosowania nad moim wnioskiem...

Wnet też nastąpiła rezolucyja następującej treści:

Konwencyja narodowa uchwala, że monarchija jest zniesioną we Francyi.

Było to ukoronowanie buntu, który miał miejsce 10 sierpnia. Nowonarodzona rzeczpospolita otrzymała 21 września imię.

* * *

Ogłoszenie rzeczypospolitej zbawiło wtedy Francyję rewolucyjną. Legijony rewolucyi, które szły zwalczać wojska monarchów, wszędzie napotykały sympatyję ludów, wyczekujących od Francyi zbawienia i wolności. Sztandar armii francuskiej został sztandarem rewolucyi z zapałem witany przez narody ciemiężone.

Podczas tego, gdy lud zwycięzko przechodził przez Europę, burżuazyja francuska knuła spisek. Wyćwiczywszy armiję, utworzywszy generałów, nakradłszy własności, zmęczywszy lud, skorzystała ona potem z pierwszej chwili, w której masy pracujące, łatwowierne i znużone, złożyły broń, by odebrać biednym wszelką nadzieję na dalszy rozwól rewolucyi.

Bez społecznej rewolucyi nie mogła się ostać i polityczna. To też respublika upada; Francyją zawładnął Bonaparte, a po nim reakcyja królewska. Aż do 1848-go roku respublika została ideą tylko, a gdy się wcieliła w życie, te same błędy, które popełniono pięćdziesiąt lat przedtem, przyprawiły o śmierć.

Od 1871 r. znów panuje respublika we Francyi, respublika burżuazyjna, respublika złodziejstwa i szachrajstw, respublika demoralizacyi i przekupstwa, respublika monopolów i wyzysku. To też dziś podnosi się opozycyja i niebezpieczeństwo despotyzmu będzie równie silnem, jak przedtem, jeśli świadomy lud pracujący nie pomyśli o przyspieszeniu rewolucyi społecznej, jedynej gwarancyi rewolucyi politycznej.

Lud francuski nauczył się walczyć o lepsze jutro, a teraz, przygotowany przez stuletnią propagandę i przez stuletnie doświadczenie, powinien nietylko walczyć, ale i samemu budować gmach przyszłości. „Wyzwolenie pracujących musi być dokonanem przez samych pracujących.“

Rewolucyjonista

Rozwalać, burzyć — to hasło jest twoje —
Mozolną wieków zdruzgotać budowę —
Rozpalać ludzkość w grabieże, rozboje,
I na krwi mule chimery wznieść nowe
Pożóg przed tobą, łuna płomienista —
Pochód twój znaczysz krwi ciekiem:
Stój szatanie — tyś rewolucyjonista!
Stój, ty nie jesteś człowiekiem.

Ha, ha, jam szatan, a ty kto? podporo
Trupiej, zemszałej budowy strażniku?
Powiedz, kto jesteś, że ci duch mój zmorą,
Kolką twych piersi, lodem twego szpiku?
Że ci mieszkaniem ta kałuża krwista
I pot ten lany stu wiekiem?..
Człowiecze, tyś nie rewolucyjonista,
Lecz i nie jesteś człowiekiem!..

O! świat tak piękny, uroczy, bogaty —
Sam owoc prosi: spożywaj człowiecze!
A tu skrwawione, uberlone katy —
Nad darem niebios łańcuchy i miecze —
Ze wspólnych darów nie ludzkość korzysta,
Choć pracy pali się spiekiem —
Ja czuję to — jam rewolucyjonista
I przez tom czucie — człowiekiem.

O, świat tak piękny, a straszno tak w świecie!
Wlecze się nagich półtrupów gromada
I, z pańskich stołów zagartując śmiecie,
Niby pies głodny wyje: głód, biada!
Tej strasznej pieśni kareta złocista
Turkotem wtórzy dalekim —
Mnie boli to — jam rewolucyjonista,
Przez ból ten jestem człowiekiem.

O, świat tak piękny — a straszno tak w świecie!
W łabędzim puchu próżniaki, bogacze,
A z jarzmem trudu niedola na świecie —
Nędza, ciemięztwo, krew, wyzyskiwacze —
Krwią braci tuczy tłuszcza się złocista
I potu bratniego spiekiem —
Precz z nią! — ja wołam: rewolucyjonista!..
Przez krzyk ten jestem człowiekiem.

Dalej, do dzieła!.. i wspólnemi bary
Podważmy czarta budowy piekielne —
Od naszych jęków drży już gmach ten stary,
Czynem mu ciosy zadajmy śmiertelne.
Dalej do dzieła! niech się świat oczyści—
Koniec pogaństwa, obłudzie..
Hej, wszyscy bądźmy rewolucyjoniści,
A wszyscy będziemy ludzie!..

Karol Brzozowski

IMPRIMERIE DE L'AURORE, 15, CHEMIN DANCET 15
GENÈVE — SUISSE